

# Wrzesiński, Wojciech

---

## Relacja Jędrzeja Giertycha z podróży po jeziorach mazurskich w 1931 r.

---

Komunikaty Mazursko-Warmińskie nr 3, 666-678

---

1962

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej [bazhum.muzhp.pl](http://bazhum.muzhp.pl), gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

rzeczą rządu polskiego z jednej strony ułatwić Mazurom porównanie ze stosunkami panującymi w Polsce, a z drugiej zaostrzyć odpowiednio ich położenie ekonomiczne. Bardzo wiele zależy będzie od polskiej celnej i granicznej polityki, która proces odpolszczenia ludu mazurskiego może ogromnie przyspieszyć.

WOJCIECH WRZESIŃSKI

## RELACJA JĘDRZEJA GIERTYCHA Z PODRÓŻY PO JEZIORACH MAZURSKICH W 1931 R.

Dla opracowania historii ludności polskiej na Mazurach poważną trudność stanowi ograniczona i jednostronna baza źródłowa. Nie zachowały się zupełnie registry działających tu wówczas organizacje i instytucje polskich. Stosunkowo niewielka jest ilość wspomnień i pamiętników. W takiej sytuacji każda relacja pisana doraznie, w intencjach li tylko informacyjnych, ma duże znaczenie. Do takich dokumentów należy zaliczyć poniżej opublikowaną relację Jędrzeja Giertycha z podróży po jeziorach mazurskich. Jędrzej Giertych znany publicysta<sup>1)</sup>, pracownik polskiej służby konsularnej w Prusach Wschodnich, był ważnym obserwatorem i dobrym znawcą zagadnień mazurskich. Wyniki jego obserwacji miały poważny wpływ na kształtowanie nowych założeń działalności polskiej na Mazurach. Giertych podróżował po jeziorach mazurskich w okresie, kiedy kierownictwo ruchu polskiego w Prusach Wschodnich tak wiele uwagi poświęcało wypracowaniu nowych zasad działania polskiego na terenach mazurskich, kiedy starano się znaleźć metody działania pozwalające rozszerzyć zasięg oddziaływania Związku Polaków w Niemczech na wszystkie powiaty mazurskie.

Giertych podróżował po powiatach mazurskich, w których Związek Polaków nie miał prawie żadnych wpływów. Wnioski autora relacji o sytuacji narodowej znajdują pełne potwierdzenie w innych dokumentach. Opierają się one na konkretnych spostrzeżeniach terenowych. Trudno się zgodzić ze wszystkimi pejoratywnymi ocenami Giertycha w sprawie charakteru ludności mazurskiej. Poznanie tych ocen umożliwi nam lepsze zrozumienie zasad postępowania kierowników ruchu polskiego w Prusach Wschodnich wobec Mazurów.

Publikując poniższy dokument zachowano dawną pisownię tylko w odniesieniu do zdań wypowiedzianych przez Mazurów.

Olsztyn, 7 sierpnia 1931 r.

Or.: *Archiwum MSZ w Warszawie, Poselstwo Polskie w Berlinie.*

Sprawozdanie z wycieczki na Mazury

w dniach 2 VIII 31 — 7 VIII 31.

W dniu dzisiejszym ukończyłem sześciodniową wycieczkę krajoznawczą, którą w ramach mego letniego urlopu odbyłem na tereny mazurskie.

Wycieczka ta, obejmująca głównie teren powiatu Jańsborskiego<sup>2)</sup> i Ządz-borskiego<sup>3)</sup>, przez akcję polską prawie wcale — nawet w porównaniu do

<sup>1)</sup> Do najważniejszych książek Jędrzeja Giertycha, które nas interesują, należą: *Za północnym kordonem (Prusy Wschodnie)*, Warszawa, b.r., oraz *Oblicze religijno-narodowe Warmii i Mazur ziem etnicznie polskich na podłożu pruskim*, Rzym 1957.

<sup>2)</sup> Dzisiaj piski.

<sup>3)</sup> Dzisiaj mrągowski.

niektórych innych powiatów mazurskich (np. Szczytna, a nawet Niborka) <sup>4)</sup> — nie objętych i z punktu widzenia narodowego prawie że nieznanymi <sup>5)</sup>, dała mi tyle ciekawego materiału obserwacyjnego, uzupełniającego obraz stosunków mazurskich, że czuję się w obowiązku całość spostrzeżeń spisać celem podania ich do wiadomości urzędowej.

Spostrzeżenia spisuję dla zachowania bezpośredniości wrażeń w formie podania streszczeń odbytych pogawędek i rozmów, odkładając wyciągnięcie wniosków do końcowej części sprawozdania.

Pierwszy dzień odbyłem w towarzystwie złożonym z kol. A. Zalewskiego z Konsulatu <sup>6)</sup> oraz z 3 pań z mej rodziny statkami żeglugi jeziorowej na szlaku Wegobork <sup>7)</sup> (*Angerburg*) — Lec <sup>8)</sup> (*Lötzen*) — Mikołajki (*Nikolaiken*) — Wierzba (*Wirsbau*) — Rudczany <sup>9)</sup> (*Rudczanny*) — Wierzba <sup>10)</sup> — Jańsbork (*Johannisburg*). Na całym tym rozległym szlaku turystycznym słyszeliśmy prawie wyłącznie język niemiecki, z ludnością nie mieliśmy żadnego kontaktu. Po polsku rozmawialiśmy z zakupieniem owoców na przystani w Rudczanem, z funkcjonariuszem przeprowadzającym statki przez służę w Trzonkach <sup>11)</sup> pod Jańsborkiem i z pomocnikiem kierownika statku na szlaku Rudczane—Jańsbork. Z tym ostatnim odbyłem dłuższą pogawędkę, przeważnie na tematy błahe, przy czym uzyskałem informacje, że cała ludność wiejska pod Jańsborkiem, a i wielu ludzi w samym Jańsborku, ma mówić po polsku.

Po przencowaniu w Jańsborku (gdzie kilkakrotnie słyszałem polskie rozmowy) udałem się w dalszą pięciodniową podróż składanym płóciennym kajakiem, we dwójkę z żoną. Wędrówka kajakiem okazała się bardzo dogodnym sposobem nawiązania niebudzącego podejrzeń kontaktu z ludnością. Ruch turystyczny na Mazurach jest b. rozwinięty. Nie zwraca niczyjej uwagi. Powolny bieg łódki umożliwia nawiązywanie pogawędek po drodze oraz nakazuje szukać po wioskach prowiantu i noclegów, tym samym dają dostęp pod dach wiejskiej ludności. Nawet nie zadając drażliwych pytań, słuchając tylko tego, co spotkani ludzie mówią sami, mieliśmy sposobność wiele ciekawego się dowiedzieć. Okolicznością pomyślną było to, że żona moja słabo zna język niemiecki, dzięki czemu dążność z naszej strony do posługiwania się, o ile możliwości, językiem polskim była całkiem naturalna i pozbawiona cech demonstracji.

Pierwszym naszym etapem była zagroda Jabłoń <sup>12)</sup> (*Jablon*), nad jeziorem Prosolasek <sup>13)</sup> (*Prosolasek-See*), dokąd przywlekliśmy kajak złożony na kółeczkach 5 km. po szosie. Do właściciela zagrody zaszliśmy kupić mleka. Słyszeliśmy, że do małych dzieci mówi po niemiecku, więc i my rozmawialiśmy z nim po niemiecku, ze sobą mówiąc po polsku. Okazało się, że nie tylko on, lecz i najdrobniejsze jego dzieci język polski znają i zapewne po polsku w domu mówią. Gbur był nieufny i pełen rezerwy. Trochę się uspokoił słysząc, że jesteśmy z Olsztyna (a więc z Niemiec). Wie, że Olsztyn jest silnym centrum polskości.

<sup>4)</sup> Dzisiaj Nidzica.

<sup>5)</sup> Akcja polska na terenie Mazur wówczas ograniczała się tylko do powiatów: szczytnskiego, ostródzkiego i nidzickiego.

<sup>6)</sup> J. Giertych i A. Zalewski byli wówczas pracownikami Konsulatu Rzeczypospolitej Polskiej w Olsztynie. Do zadań Zalewskiego należało utrzymywanie kontaktów z organizacjami polskimi na terenie właściwości Konsulatu.

<sup>7)</sup> Dzisiaj Węgorzewo.

<sup>8)</sup> Dzisiaj Giżycko.

<sup>9)</sup> Dzisiaj Ruciane, pow. mrągowski.

<sup>10)</sup> Powiat mrągowski.

<sup>11)</sup> Powiat piski.

<sup>12)</sup> Powiat piski.

<sup>13)</sup> Dzisiaj Brzozolasek w powiecie piskim.

Przebywszy jezioro Prosolasek przewlekliśmy łódź (1 km. leśną drogą) na jezioro Wiartel<sup>14</sup>). W szuwarach spotkaliśmy starego rybaka, zastawiającego sieć. Okazał się gadułą, wiele nam naopowiadał, oczywiście rzeczy białych. Mówił świetną polszczyzną — prawie bez germanizmów. (Brak germanizmów uderzał nas we wszystkich rozmowach: mowa Mazurów jaskrawo się pod tym względem różni od zachwaszczonej niemczyzną mowy warmińskiej). Zwracał się do mnie per „waś”. Był trochę przerażony naszym odezwaniem się po polsku. Informacja, że jesteśmy z Olsztyna wyraźnie go uspokoiła. „Bo my mamy strach Poloków od tela (pokazał ręką w stronę granicy). Polok ma chęć na całe Ostprejy. Przed paru tygodniami już-już mieli Polacy wkroczyć. I pewnie w końcu wkroczą. „To gdzie my wtedy pójdziemy? Tamtego razu jak tu Polok był (mowa o inwazji rosyjskiej w 1914 r.), to my jechali aż do Bremena<sup>15</sup>) (człowiek ten był ewakuowany). A teraz droga zagrodzona” (mowa o korytarzu). Z mieszaniami pojęć Rosja-Polska spotykaliśmy się później kilkakrotnie. Potwierdza to obserwacja nauczyciela Lanca z Piasutna<sup>16</sup>), który twierdzi nawet, że to pomieszanie pojęć jest celowo wpajane Mazurom przez niemiecką szkołę. W tym, co ten rybak mówił o spodziewanym najeździe polskim, były reminiscencje zarówno z inwazji rosyjskiej z 1914 r., jak i z rozmaitych wiadomości dotyczących Bolszewii. Mówiąc o stosunkach miejscowych (rybak ten pochodzi ze wsi Waldorf<sup>17</sup>), pracuje na rzecz dzierżawiącego rybołówstwo pana Pobielskiego z Jańsborka, „który często bywa u was w Olsztynie u panów z regirunku”) twierdzi on, że tu w całej okolicy mieszkają „same Poloki”. Ale młodzież i dzieci mówią coraz więcej po niemiecku, wstydzą się swej polskiej gadki. „Tak już widać będzie, że w Prusach same Niemce będą”. Była w tym nuta rezygnacji i biernego żalu. We wsi Wiartel<sup>18</sup>) przenieśliśmy łódź przez młyn (należący się zdaje do Niemca) i wyjechaliśmy na Jezioro Nidzkie<sup>19</sup>). Po długim wiosłowaniu zajechaliśmy do wsi Sowiróg<sup>20</sup>) (*Sowierog*). Na brzegu kilku niestarych mężczyzn pracowało, rozmawiając jędrną polszczyzną. Jednak na nasze zapytania odpowiadali po niemiecku. Napotykanne dzieci pozdrowiły nas przez *guten Tag*. Zasłaliśmy do paru chałup. W jednych nie zastaliśmy nikogo, w innych na polskie zapytania o mleko odpowiadano nam nie rozumiejąc *wie?* Na niemieckie pytania odesłano nas do jednego we wsi murwanego domu, gdzie mleko pewno będą mieli. Przypuszczając, że na pewno trafimy na Niemców zagadnęliśmy po niemiecku. Okazało się, że jedyna obecna w domu kobieta, matka gospodyni (sołtysowej) wcale po niemiecku nie rozumie. Ma lat 81, chodziła jeszcze do polskiej szkoły. Jest żwawa, rozmowna, wszystkim się interesuje. Mimo naiwności jest niegłupia. Twierdzi, że w całej wsi język polski dominuje wszechwładnie, tylko dzieci mówią między sobą po niemiecku, a i to nie wszystkie. A już trochę większe wyrostki mówią po polsku. W tamtych gospodarstwach, gdzieśmy razem byli, wszyscy mówią po polsku (widać nie dosłyszano co mówimy). Staruszka dopytywała nas się („wyście z Olsztyna to pewnie wiecie”), czy to prawda, że wojna ma być, że tu Polska przyjdzie i że pieniądze znowu mają zginąć. Bardzo się boi nowej wojny — jednego syna na wojnie straciła, zaginał bez wieści — to może i żyje gdzieś w świecie? Może jest na jakimś „ostrozie” (ostrowie, wyspie), to i wrócić nie

<sup>14</sup>) Powiat piski.

<sup>15</sup>) Brema.

<sup>16</sup>) Jerzy Lanc (1901—1932), nauczyciel jedynej działającej na Mazurach w okresie międzywojennym szkoły polskiej. Po jego śmierci (okoliczności jej są do dnia dzisiejszego niewyjaśnione), szkoła przestała działać.

<sup>17</sup>) Dzisiaj Przerośl, powiat piski.

<sup>18</sup>) Powiat piski.

<sup>19</sup>) Powiat piski.

<sup>20</sup>) Powiat piski.

może? Użalała się m. in. na to, że w kościołach wszystko się dziś odbywa po niemiecku. W trakcie, gdyśmy pili mleko i spożywali przyniesione z łódki zapasy, zjawiała się jej córka, też już niemłoda gospodyni. Mniej optymistycznie od matki zapatruje się na stan polskości. Stwierdza z irytacją, że młodzi nie chcą znać tego, co było dawniej, wstydzą się rodziców, chcą zarzucić gadkę polską (rzecz ciekawa: ani razu w naszej podróży nie słyszeliśmy określenia „gadka mazurska”, a określenie „Mazur” tylko bardzo rzadko i jako synonim Polaka). „Teraz nowy świat, stary świat ginie”. Jest pełna ducha buntu. Pomstuje, że nauczyciel we wsi ma tylko 13 dzieci i nie przepracowuje się. Twierdzi, że w razie nowej wojny biedny naród nie będzie taki głupi jak dawniej i na wojnę nie pójdzie. Zresztą chwali się, że jej trzej synowie to „pańskie ludzie”. Zaden nie siedzi w domu, jeden jest gdzieś w okolicy za „spektora” (inspektora). Obie kobiety pożegnały nas z wielką serdecznością, jako miłych i pożądaných gości. Jak się nazywają nie zdołaliśmy stwierdzić. Łódź na brzegu w pobliżu ich domu nosiła tabliczkę z napisem „Emil Schellack”.

Śpiewając w rytm wiosel minęliśmy wieś Przyrośle<sup>21)</sup> (Waldorf — dawniej *Przyroschelm*). Nieco poza nią ujrzelśmy na łodzi dwóch chłopców w wieku około 12—13 lat, łapiących ryby. Na zapytanie: „No jak tam, są ryby?” otworzyli szeroko oczy i nic nie odpowiedzieli. Na powtórzone pytanie odrzekli nieśmiało „jo”. „A jakie?”. „Okonie”. Rozruszali się stopniowo i rozgadali. Udzielili nam uprzejmych i wyczerpujących informacji, dotyczących dalszej drogi. Mówili po polsku wyśmienicie, bez germanizmów i bez obcego akcentu. Rozstaliśmy się w przyjacielskim nastroju. Oddaliliśmy się od nich znów zaczęliśmy śpiewać. Gdy ujechaliśmy jakie 200—300 metrów niespodziewanie usłyszeliśmy, że obaj chłopcy na całe gardło zaczęli śpiewać *Deutschland, Deutschland über alles*. Był to jakiś tekst strawestowany, co chwila powtarzało się w nim słowo „Polen”. Gdy skończyli śpiewać zaczęli coś wykrzykiwać, z powodu odległości nie słyszeliśmy co, w każdym razie nie były to okrzyki przyjazne. Z paru pochwyconych słów wnosimy, że wołali po polsku. Słyszeliśmy m. in. wyraz „Poloki”. Widocznie fala uczuć patriotycznych napłynęła im do serca dopiero po naszym odjeździe.

Do następnej większej wioski, zwanej się Kurwie<sup>22)</sup> (Kurwien), przybyliśmy późną nocą, zmęczeni wiosłowaniem na długiej przestrzeni, w labiryncie zagradzających po ciemku drogę szuwarów. Bojąc się po ostatnim incydencie, że nam jako Polakom odmówią noclegu, poprosiliśmy w oberży o nocleg po niemiecku, z sobą rozmawiając tylko szepem. Przyjęto nas chętnie, otrzymaliśmy schludny i tani pokój. W sąsiednim gościnnym pokoju nocowali jacyś państwo z Elku (z sądownictwa), którzy przybyli do Kurwi na godzinę przed nami (też kajakiem). W oberży siedziało kilku młodych mężczyzn — wszystko rozmawiało po niemiecku. Gdy jednak w pewnym momencie całe towarzystwo wraz z karczmarzem wyszło przed ganek, a więc oddalilo się sprzed naszych oczu, natychmiast (łącznie z karczmarzem) przerzuciło się na czystą i jędrną polszczyznę. Na drugi dzień rozgadaliśmy się po polsku z żoną karczmarza (karczmarz wczesnym rankiem wyjechał). Mieszkała długi czas „na Westfalach”<sup>23)</sup>, chętnie mówi wskutek tego po niemiecku, jednak po polsku mówi całkiem dobrze. Musi umieć po polsku, bo w interesie w Kurwiach potrzebne. Cała wieś mówi po polsku. Jej siedemnastoletnia siostra przyrodnia, wychowana w Westfalii i wcale po polsku nie umiejąca, stara się po polsku nauczyć. Karczmarzka odnosiła się do nas bardzo przyjaźnie, jeżeli nie dosłownie jak do rodaków, to w każdym razie w sposób zbliżony. (Z wyjątkiem owego incydentu

<sup>21)</sup> Dzisiaj Przerzeń, powiat piski.

<sup>22)</sup> Dzisiaj Karwica, powiat piski.

<sup>23)</sup> W Westfalii, gdzie były liczne skupiska pochodztwa polskiego z Mazur.

z chłopcami w Przyroślach twierdzą kategorię, że nasza polska mowa wszędzie jednala nam sympatie i byla powodem gorętszego tonu w obcowaniu z nami). Cieszyła się, że tak dobrze może się z nami porozumieć, że jej mowa jest tak zbliżona do naszej, mimo że nasza jest bardziej „fejn”. Karczmarze ci nazywają się Klotzing. Opuszczając wieś mieliśmy sposobność usłyszeć parę rozmów prowadzonych po polsku przez młodych parobczaków.

Jechaliśmy dalej Jeziorem Nidzkim w stronę Rudczanego. Na środku zatoki przed Kurwiami spotkaliśmy grupę 8 rybaków na trzech łodziach, łowiących ryby niewodem. Byli to mężczyźni w wieku 20—35 lat. Rozmawiali, klęli, dowcipkowali wyłącznie po polsku. Nawiazaliśmy z nimi pogawędkę, mimo silnej fali przyczepiliśmy się burtą o burtę do jednej łodzi, aby zobaczyć ciekawe widowisko zakładania niewodu i wyciągania go pełnego ryb. Rybacy zwracali się do nas po niemiecku, między sobą w dalszym ciągu mówiąc po polsku. Ale gdy zauważyli, że my też między sobą mówimy po polsku język niemiecki porzucili. Byli nadzwyczaj przyjaźnie usposobieni i bardzo chętnie i gorliwie włączali nas w arkana swego rzemiosła. Na podziękę poczęstowali ich czekoladą. O to, kto my jesteśmy, nie pytali.

Na drodze do Rudczanego kilkakrotnie jeszcze spotykaliśmy łodzie rybaków. Wszyscy — i starzy i młodzi — mówili po polsku oraz chętnie wdawali się z nami w rozmowy. Niektórzy z ciekawości rozpytywali się, skąd my jesteśmy.

Tuż przed Rudczanem, w przysiółku Skonał<sup>24)</sup>, naprzeciw wsi Nidów<sup>25)</sup> (*Nieden*) — stąd Jezioro Nidzkie (*Niedersee*) zajechaliśmy po mleko do jednej z chałup. Słyszeliśmy, że dzieci mówią po niemiecku. Jakoś tak się złożyło, że i my do gospodyni zagadaliśmy po niemiecku. Była małomówna i obojętna, widać przyzwyczajona do częstych (w pobliżu uczęszczanego letniska, jakim jest Rudczane) odwiedzin letników i turystów. Siedząc na ganku i pijąc mleko próbowaliśmy rozgadać się z dziećmi, ale nam się to nie udawało. Dopiero stopniowo zdołaliśmy dociec, że część dzieci nie należy do gospodarza (zdaje się dzieci letników) i one po polsku nie rozumieją, podczas gdy dzieci gospodarza rozumieją, ale się wstydzą. Odnieśliśmy wrażenie, że jest to rodzina zupełnie zniemczona. Przekonaliśmy się jednak, że pozory mylą. Gdy wszedłem do izby po nową porcję mleka odezwałem się do gospodyni na próbę: *Sprechen Sie polnisch? Jawohl* odpowiedziała skwapliwie. Gdy dowiedziała się, że jesteśmy Polacy, rozpromieniona zawołała męża. Oboje wyszli do nas na ganek. Gbur — może 38—40-letni oświadczył, że raduje się, mogąc gościć u siebie ludzi, którzy mówią po polsku. Jest on mowie ojczystej wierny, uważa, że nie wolno jest zarzucać gadki, której nauczyła matka. Język niemiecki trzeba znać, ale *Muttersprache* musi stać na pierwszym miejscu. Wielu ludzi wstydzi się polskiego języka, to jest tak jakby się wstydzieli swoich rodziców. Niektórzy się jeszcze dobrze po niemiecku nie nauczyli, a już udają, że po polsku wcale nie rozumieją. To śmieszne. On mówi po polsku w domu i umie po polsku czytać i śpiewać. Nauczył go jego ojciec, mający 77 lat, przebywający teraz u córki pod Elkiem. Ojciec bardzo twardo trzyma się polskiego języka. Chodził jeszcze do polskiej szkoły, jednak po niemiecku umie. Ale bardzo niechętnie po niemiecku mówi — wobec wstydzących się swego pochodzenia Mazurów udaje, że po niemiecku nie rozumie. Przez pewien czas abonował „Mazurą”<sup>26)</sup>, ale teraz nie abonuje. Bardzo tego pilnuje, aby wnuki mówiły po polsku. Nasz rozmówca nie ma nic przeciw temu, że mniejsze dzieci chętniej mówią po niemiecku — niech się uczą, łatwiej im przez to w szkole — jak wyjdą ze szkoły, z pewnością od niemieckiego języka odwykną. Tak było ze starszym

<sup>24)</sup> Powiat piski.

<sup>25)</sup> Dzisiaj Nida, powiat piski.

<sup>26)</sup> „Mazur” — gazeta polska wydawana w Szczytnie w latach 1928—1939.

17-letnim synem, jak był w szkole mówił przeważnie po niemiecku, teraz ze wszystkimi również z rówieśnikami mówi wyłącznie po polsku (podobne zjawisko, powracania młodzieży wychodzącej ze szkoły do języka polskiego, dostrzeżliśmy i gdzie indziej). Potwierdza to obserwacje nauczyciela Lanca, który twierdzi, że jest zjawiskiem powszechnym porzucanie języka niemieckiego przez młodzież, która wyszedłszy ze szkoły obraca się znów głównie w gospodarstwie rodzicielskim, gdzie się na nowo polszczy. Nasz rozmówca robił wrażenie człowieka bojowego i entuzjastycznie wiernego polskiej mowie, odnosił się do nas z serdecznością i żegnał z wyrazami żalu, że już odjeżdżamy. Zdołałem stwierdzić, że nazywa się Grenda<sup>27a</sup>). Mówił m. in., że w kościołach po polsku mówią pastory coraz mniej, a jeśli mówią to bardzo źle. Na ten stan rzeczy oburzał się. Jego żona na dźwięk mowy polskiej zmieniła się jak za dotknięciem różdżki czarodziejkiej, z obojętnej i milczącej na ożywioną i serdeczną.

Ze Skonału udaliśmy się do Rudczanego, skąd, spakowawszy kajak, kolejną do Pupów<sup>27)</sup> (*Puppen*). Zanocowaliśmy tam w wielkiej oberży. Okno naszego pokoiku wychodziło na główną wioskową ulicę, słyszeliśmy przez nie od wczesnego ranka rozmowy w przytłaczającej większości polskie gromadzących się licznie przed oberżą ludzi. W wielkiej sali zebraniowej w oberży (gdzie zauważyliśmy m. in. insygnia miejscowego *Kriegsvereinu*) odbywało się tego ranka, przy udziale blisko setki ludzi, coś w rodzaju giełdy na drzewo. Obrady odbywały się oczywiście po niemiecku, w „kluuarach” jednak język polski dźwięczał głośno. Słyszałem m. in. przy jednym ze stolików restauracyjnych rozmówkę polityczną, prowadzoną dosłownie pół na pół w języku polskim i niemieckim, w której jeden z rozmówców wyrażał wątpliwość czy po dojściu „hitlerów” do władzy<sup>28)</sup> zmieni się co na lepsze — drugi zaś przekonywał go, że musi się zmienić, bo ludzie obecnego regime'u są wszyscy z przekonania *international*<sup>29)</sup>, a więc *Verrat*, *Verrat* i *Verrat* jest rzeczą nieuniknioną, podczas gdy „hitlery” będą dbać o dobro własnego narodu. Oberżysta (niemłody) rozmawiał z nami po niemiecku, po polsku jednak umie, ale jak twierdził nie *das feine polnisch*, jak w Poznaniu, lecz *so wie hier spricht*. Pytał się, jak mówią w Warszawie, poinformowałem go, że ludność wiejska pod Warszawą mówi tą samą gadką mazurską co tutaj. Odrzekł, że tak też przypuszczają, biorąc pod uwagę bliskość tutejszego terenu od Warszawy.

Dalszą drogę odbywaliśmy bardzo uczęszczanym szlakiem turystycznym, na którym wciąż napotykaliliśmy kajaki. Na szlaku tym znajduje się szereg uczęszczanych letnisk, toteż wpływ niemieczyny jest tu z natury rzeczy większy niż gdziekolwiek indziej.

Rozpakowaliśmy i złożyli nasz kajak w samych Pupach nad miejscowym jeziorkiem. Zbiegła się dokoła nas i rozsiała na trawie cała czereda małych wiejskich chłopców, głośno (po niemiecku) rozmawiając o czekoladzie, którą już od różnych kajakowców otrzymywali. Nie zwracaliśmy na nich uwagi, zajmując się składaniem kajaka i rozmawiając przy tym po polsku. W pewnej chwili, gdy niemieckie przymówki o czekoladę znów się z ich strony powtórzyły żona zagadała do nich o tej czekoladzie po polsku. Natychmiast przeszli na język polski, a otrzymawszy czekoladę, w bardzo zresztą skromnej dozie, przyczepili się do nas, aż do końca naszej tym razem źle idącej i długotrwałej roboty, pomagając czy raczej przeszkadzając w niej, baraszując dokoła nas w trawie i bez ustanku paplając. Mówili po polsku świetnie, widać było, że to

<sup>27)</sup> Dzisiaj Spychowo, powiat szczycieński.

<sup>28)</sup> Partia hitlerowska — *Nationalsozialistische Deutsche Arbeiterpartei*.

<sup>29)</sup> Mowa o rządzie Heinricha Brüninga, działacza niemieckiej partii katolickiej Centrum.

ich język ojczysty, że posługują się nim co dzień. Czasem tylko niespodziewanie, jakby z nalogu popisywania się przed obcymi, przechodzili na język niemiecki — zresztą nie najidealnie poprawnie, np. *weg mit den Paluchen* — zaraz jednak wracali do polszczyzny.

Rozstaliśmy się z nimi w doskonałej komitywie. Jechaliśmy Pupską Strugą<sup>30)</sup> (*Puppener Fließ*). Na brzegu stały (jeszcze w obrębie wsi) dwie 10—12-letnie dziewczynki, wołając *nehmen Sie mich mit*. Zona wdała się z nimi w żartobliwą pogawędkę, przy czym one mówiły po niemiecku, a żona po polsku. Zwracanie się do nich po polsku pocztywały widać za niedocenianie ich wiadomości językowych, bo jedna z nich odezwała się tonem jakby sprostowania *ich kann auch deutsch*. Moja odpowiedź, że „tak, ale moja białka nie może po niemiecku”, przyjęły do wiadomości z wielkim zdziwieniem, jednak zastosowały się do niej — każde swoje niemieckie odezwanie tłumacząc odtąd natychmiast na polski. Mówiły po polsku całkiem nieźle, ale uważały za stosowne usprawiedliwiać się mimo to, że mówią po polsku tak lichy, bo są jeszcze małe, ale jak będą większe i wyjdą ze szkoły, to będą mówić lepiej.

Po polsku mniej umiejąd matek. Przewieźliśmy je trochę po rzece, były uszczęśliwione, szczebiotały, że natychmiast pobiegną do swych matek, by pochwalić się, że jechały *mit einen Padelboot*. Rozstały się z nami, zwłaszcza z żoną z wylewnymi oznakami serdeczności, śląc za nami długi czas pozdrowienia ręką i wołając *Danke, danke, danke*, *ihr seit gute Leute*, wyśta dobre ludzie”. Nazywają się Rohmann i Gutsberg. Jeszcze kilkakrotnie potem spotykaliśmy dzieci nad rzeką, mówiące po niemiecku *komm ein Padelboot*, lecz odpowiadające na nasze odezwania po polsku.

Jechaliśmy następnie nie napotykając ludzi (lub tylko kajaki) na długiej przestrzni Pupskiej Strugi, *Sdrosno-See*<sup>31)</sup>, *Uplick-See*<sup>32)</sup>, *Mucker-See*<sup>33)</sup>, koło wsi Sgona<sup>34)</sup> (tj. Zgon) i *Cruttinnen-See*<sup>35)</sup> oraz Krutyńskiej Strugi<sup>36)</sup> (*Cruttinner Flisses*). Dopiero przed Krutynią<sup>37)</sup> zaczęliśmy spotykać ludzi mówiących po niemiecku (letników). Zanoceowaliśmy w znanym letnisku Krutyne (*Cruttinen*) w willi *Kurhaus Cruttina*, której właścicielem jest niejaki Lothar Darda, miejscowy, inteligentniejszy Mazur. Rozmawiał z nami po polsku (sam zaczął, słysząc że między sobą po polsku rozmawiamy). Mówił po polsku dobrze — widać było przy tym, że sili się na poprawność językową. Z pomagającą mu kobietą, zapewne żoną, też umiejającą po polsku, rozmawiał po niemiecku. W letnisku stwierdziliśmy wielkie pustki — podobno wszyscy letnicy uciekli po kryzysie bankowym (to samo było w Rudczanym). Po wsi chodziliśmy wieczorem i nazajutrz rano pod pretekstem zakupów. (Byliśmy u wędliniarza Wanka i kupca kolonialnego Kamińskiego, przysłuchując się przy okazji rozmowom ludzi siedzących przed chałupami i gawędząc z nimi pod pretekstem pytania o drogę). Stwierdziliśmy, że cała wieś zna język polski, przy czym ludzie dorośli nie tylko ten język znają, lecz przeważnie go między sobą używają — dzieci zaś mówią zarówno między sobą, jak i z rodzicami po niemiecku, jednak rozumieją po polsku doskonale. Jak na miejscowość rokrocznie odwiedzaną przez tłumy niemieckich letników, ten stan rzeczy należy uznać za nienajgorszy.

<sup>30)</sup> Dzisiaj Spsychowska Struga.

<sup>31)</sup> Dzisiaj Zdruzno, powiat mrągowski.

<sup>32)</sup> Dzisiaj Uplik, powiat mrągowski.

<sup>33)</sup> Dzisiaj Mokre, powiat mrągowski.

<sup>34)</sup> Dzisiaj Zgon, powiat mrągowski.

<sup>35)</sup> Dzisiaj Jezioro Krutyńskie, powiat mrągowski.

<sup>36)</sup> Dzisiaj Krutyńia.

<sup>37)</sup> Dzisiaj Krutyń, powiat mrągowski.



Jechaliśmy następnie w dół Krutyńskiej Strugi, przez *Cruttinerofen*<sup>38)</sup>, *Grünheide*<sup>39)</sup>, *Jügerswalde*<sup>40)</sup>, Chostkę<sup>41)</sup>. Z powodu upalnego dnia spotykaliśmy wzdłuż całej drogi wielką liczbę kąpiących się dzieci, a koło południa też i młodzieży starszej. Dzieci mówiły z sobą po niemiecku, polski język jednak znały. Raz tylko (w *Jügerswalde*) usłyszeliśmy od dwojga dzieci: *ich versteh nicht polnisch*, w teście jednak wsi spotkaliśmy kąpiącą się gromadę kilkunastu chłopców i dziewcząt w wieku od 15—20 lat z wielką wrzawą rozmawiających i dowcipkujących, posługujących się wyłącznie językiem polskim. Co prawda z nami po polsku mówić nie chcieli, jakby się czuli urażeni, że posądzano ich o nieznaną niemiecką.

Następna wieś *Eckersdorf*<sup>42)</sup> jest istniejącą już od lat osadą kolonistów rosyjskich — w większości sekciarzy filiponów<sup>43)</sup> (staroobrzedowców) w mniejszej części prawosławnych. Parobcy płąwiący konie, kąpiąca się dziatwa, w przeciwnieństwie do mówiącej po niemiecku dziatwy mazurskiej, mówili między sobą wyłącznie po rosyjsku — co prawda dialektem gruntownie wykoślawionym, pełnym germanizmów i zwłaszcza polonizmów. Od małego chłopca, który odczytał niemiecki napis na naszym kajaku (z nazwą firmy) dowiedziałem się, że umie czytać też i po rosyjsku i że chodzi o dwóch szkół: niemieckiej i „ruskiej”. Zaszliśmy, zmuszeni przez upał, do dwóch chałup po owoce i mleko. Obie baby, z którymi mówiliśmy, są prawosławne. Dowiedziałem się, że szkoła we wsi jest niemiecka, jednak dzieci chodzą na naukę rosyjskiego do „batuszki”, który tu po wojnie osiadł. Jest on jedynym nowym przybyszem z Rosji<sup>44)</sup>, reszta to ludzie osiadli tu od paru pokoleń. Za dawnych czasów nie było szkoły niemieckiej — uczono w szkole po polsku i po rosyjsku. I teraz cała ludność zna trzy języki, które im się jednak, jak sami twierdzą, pomieszaly. Rozmawiałem z nimi po rosyjsku, by stwierdzić jak mówią, istotnie wykoślawienie ich wielkoruskiego języka poszło b. daleko. (Np. takie powiedzenie: *Majesz mleko?, wy połuczicie gruszki, wot w etom gehöftie na ragú* — zamiast *na ugłu* itd.). Jedna z bab pytała nas czy to prawda, że już niezadługo „Paliak” tu przyjdzie i że wojsko polskie już skoncentrowane na granicy. *Nam eto wsió rawno pad Niemce li my ili pad Palakom* — powtórzyła dwukrotnie z naciskiem. Mówiła, że w związku z plebiscytem dn. 9 sierpnia<sup>45)</sup> są pełni obawy, czy nie będzie wojny domowej. Jako ogólne wrażenie stwierdzić muszę utrzymywanie się mimo wszystko bardziej silnej odrębności wielkorusów eckerdorfskich, zarówno pod względem językowym (dzieci mówią po rosyjsku między sobą), jak, co ważniejsze, pod względem poczucia tej odrębności. Abstrahując od przyczyn wyjaśniających ten fakt (odrębność wyznaniowa, brak nacisku germanizacyjnego na tych, traktowanych jako ciekawostka turystyczna *Russen*) — niepodobna nie podkreślić rażącej różnicy w stanie narodowym tej małej, najmniejszej w Prusiech, mniejszości narodowej, otoczonej obcą ludnością, a potężnej liczebnie, lecz biernej masy mazurskiej.

<sup>38)</sup> Dzisiaj Krutyński Piecok, powiat mrawowski.

<sup>39)</sup> Dzisiaj Zielony Lasek, powiat mrawowski.

<sup>40)</sup> Dzisiaj Rosocha, powiat mrawowski.

<sup>41)</sup> Powiat mrawowski.

<sup>42)</sup> Dzisiaj Wojnowo, powiat mrawowski.

<sup>43)</sup> Zob.: Emilia Sukertowa - Biedrawina, *Filiponi na ziemi mazurskiej*, Komunikaty Mazursko-Warmińskie, nr 1 (71), s. 39—68.

<sup>44)</sup> Według ustnej tradycji po raz pierwszy poznał Wojnowo w czasie działań wojennych w pierwszej wojnie światowej.

<sup>45)</sup> Plebiscyt miał zdecydować o ewentualnym rozwiązaniu sejmiku pruskiego.

Z Eckersdorfu jechaliśmy dalej Krutyńską Strugą przez Schönfeld<sup>46)</sup>, Starą Uktę<sup>47)</sup> (All Ukta), Nową Uktę<sup>48)</sup>, Neubrück<sup>49)</sup>, Malinówko<sup>50)</sup> do Garten See<sup>51)</sup>. Po drodze wciąż spotykaliśmy ludzi dorosłych, mówiących między sobą po polsku, i dzieci, mówiące między sobą po niemiecku, lecz z nami po polsku. W pewnym momencie grupa dorosłej młodzieży, do której zagadaliśmy po polsku słysząc jej polskie rozmowy, oburzyła się na nas uważając, że ich przedrzeźniamy. Prąd szybko nas znosił, nie mogliśmy się zatrzymać, by wyjaśnić nieporozumienie, usłyszeliśmy jednakże za plecami uspokajający głos „oni pewnie też po polsku gadają, to pewnie berliniaki”.

Poprzez mniejsze jeziora Garten-See, Jerzewski-See<sup>52)</sup>, wydostaliśmy się na wielkie uczęszczane przez parostatki jezioro Beldahn-See<sup>53)</sup>. Po drodze rozmawialiśmy z młodym rybakiem, który bardzo chętnie i z wyraźnym radosnym zdziwieniem doskonałą polszczyzną udzielał nam wskazówek, co do dalszej drogi oraz rozmawialiśmy krótko ze starą babą doskonale mówiącą po polsku we wsi Iznoty<sup>54)</sup> (Isnothen).

Na jeziorze Beldahn zajechaliśmy do samotnej, zamożnej gburskiej zagrody Bartlewo<sup>55)</sup> i nie wysiadając z kajaka poprosiliśmy o mleko. Siedzący na brzegu stary gbur zawałał swą żonę uradowany, że ma po polsku mówiących gości. „Co waść aż z Warszawy do Ostprajsów sprowadziło?”. Mieliśmy z obojgiem długą i bardzo interesującą pogawędkę. Są do języka polskiego przywiązani — ze sobą oraz z najmłodszym synem, który jeszcze siedzi w domu, mówią tylko po polsku. Troje pozostałych dzieci, z których dwie córki siedzą na zamożnych gburstwach w okolicy, a syn ożeniony z Niemką przebywa w Królewcu, posługuje się przeważnie językiem niemieckim. Stara nauczyła się niemieckiego języka od wnuków. Cała rodzina ma aspiracje inteligenckie. Owa para starych ludzi stanowiła bodaj czy nie najinteligentniejsze osoby ze wszystkich napotkanych Mazurów przez cały czas wycieczki. Uskarżali się na zanik polszczyzny, na germanizację językową młodego pokolenia, na wyzbywanie się języka polskiego przez mieszczaństwo w Mikołajkach itd. „Ale są porządni ludzie, którzy języka ojczystego się nie wyzbywają”, znany im jest jeden pan z Berlina, który na Mazury przyjeżdża, który mówi, że do śmierci nie zapomni mowy matczynej. Niestety, nie mogli sobie przypomnieć jego nazwiska — a ja, nie chcąc zdradzić swego zainteresowania, nie uważałem za możliwe dopomóc ich pamięci przez podsuwanie nazwisk, które mi się na myśl nasuwały. Toteż nie mogłem sprawdzić, czy słuszne jest me przypuszczenie, że zarówno wzmianka tych dwojga gburów w Bartlewie, jak nazywanie nas „berliniakami” w Ukcie oznaczają nasze natknięcie się na ślad działalności „Cechu”<sup>56)</sup>.

Wierność językowi polskiemu owej pary starych ludzi nie oznacza zresztą sympatii narodowych czy państwowych polskich. Stary oświadczył nam z dumą, że służył niegdyś w pułku gwardii królewskiej w Berlinie i nie bez smutku zauważył: „ale to już wszystko przepadło: nie ma króla ani Garde-Regimentów”.

<sup>46)</sup> Ładne Pole, powiat mrągowski.

<sup>47)</sup> Dzisiaj Ukta, powiat mrągowski.

<sup>48)</sup> Powiat mrągowski.

<sup>49)</sup> Dzisiaj Nowy Most, powiat mrągowski.

<sup>50)</sup> Powiat mrągowski.

<sup>51)</sup> Dzisiaj Jezioro Gardyńskie, powiat mrągowski.

<sup>52)</sup> Dzisiaj Jerzewko, powiat mrągowski.

<sup>53)</sup> Dzisiaj Beldan.

<sup>54)</sup> Dzisiaj Iznota, powiat mrągowski.

<sup>55)</sup> Powiat mrągowski.

<sup>56)</sup> Przypuszczenia Giertycha wydają się słuszne, gdyż na tamtych terenach Związek Mazurów i „Cech” posiadał stosunkowo duże wpływy.

Mówił również, że podobno Polacy chcą zabrać Prusy Wschodnie i dość twardo dodał „ale to im się pewnie nie uda”. Zona zrobiła wówczas w jego stronę gest, jakby przywołania do porządku i przypomnienia mu, że nietaktem jest coś podobnego przy Polakach mówić. Dodała przy tym, że „nie można wiedzieć jak tam Pan Bóg urządzi”.

Pożegnali nas oboje bardzo serdecznie. Za mleko nie chcieli wziąć pieniędzy. Nazwiska ich nie mieliśmy, niestety, sposobności się dowiedzieć.

Udaliśmy się następnie do lotniska Wierzba (Wiersbau), gdzie zanocowaliśmy i gdzie nie znaleźliśmy nic polskiego.

Nazajutrz pojechaliśmy do miasteczka Mikołajki. Pod pretekstem kupienia stanowiących specjalność Mikołajek wędzonych sielaw (*Maränen*, po mazursku dymione muranki) obszedłem całą uliczkę rybacką nad brzegiem jeziora. Stwierdziłem, że panuje tam między dorosłymi, zarówno w ścianach domków, jak w głośnych rozmowach na ulicach, język polski. Dzieci po polsku jeszcze trochę rozumieją — jednak dość słabo.

Na Mikołajkach zakończyliśmy wycieczkę.

W drodze powrotnej pociągiem (jechaliśmy z naszym kajakiem wagonem trzeciej klasy „dla podróżnych z ciężkimi pakunkami”) słyszeliśmy po pierwszych powitalnych *Tag* każdego pasażera prawie wyłącznie polskie rozmowy. Rozmowy te dość intensywnie obracały się około sprawy mającego mieć pojutrze miejsce plebiscytu — przy czym treść tych rozmów była na ogół czysto destrukcyjna, radość z tego, że rząd i władze będą obalone, pójdą *weg*.

Tyle, jeżeli idzie o kronikarskie zreferowanie bezpośrednich wrażeń.

Przechodzę do podania wrażeń ogólnych oraz wniosków.

Wycieczka ta, istne zanurzenie się w mazurszczyźnie, nie dające się po prostu porównać co do bezpośredniości zetknięcia z ludem, z urzędowymi objazdami Mazur w sprawach robotników sezonowych ani z innymi dostępnymi urzędnikowi Konsulatu formalnymi kontaktami z terenu — dała mi wiele materiału do oceny kwestii mazurskiej. Wrażenie zetknięcia z Mazurami jest po prostu przejmujące, jako odkrycie dzielnicy nieznanej, nie biorącej udziału w życiu ogólnonarodowym, a jednak tak rdzennie, tak rasowo, tak zamasyście polskiej — i tak pod pewnymi względami archaicznej i wiejącej staropolszczyzną (np. forma „waść”). Przypuszczam, że wrażenia Francuza po starożywności francuskiej, zakonserwowanej w formach sprzed XVIII wieku Kanady, muszą być podobne. Obok tego przejmujące jest stwierdzenie, że cała ta dzielnica ginie. Nie to jest w tym tragiczne, że zjawiskiem częstym jest germanizacja, że spotyka się tam ludzi, wstydzących się ojczystego języka, że dzieci przeważnie już mówią po niemiecku (choć i język polski znają) itd., ale to, że to się dzieje niemal bez protestu i oporu. Przynajmniej bez protestu i oporu świadomego. Bo nie mogą się oprzeć wrażeniu, że opór podświadomy, instynktowny, irracjonalny, że odruchowa, nie znajdująca wyrazu w uzasadnionej rozumowo ideologii, jednak potężna miłość mowy ojczystej i chęć utrzymania jej przy życiu, tam istnieją — bo bez nich niepodobna sobie wyobrazić tego, że mimo powszechnej (z wyjątkiem starców) świetnej znajomości języka niemieckiego i braku zorganizowanego przeciwdziałania jego inwazji, język ten dotąd na Mazurach nie zapanował i wdiera się w życie najmłodszej (dziecięcej) generacji falą potężną wprawdzie, lecz bynajmniej jeszcze nie zwycięską.

Przechodzę do sedna kwestii — jaką jest zagadka duszy mazurskiej. Brak do duszy tej klucza — może go dać tylko intuicja. Jeśli idzie o intuicję moją nie mogę się oprzeć wrażeniu, że dusza zbiorowa mazurska znajduje się na tragicznym bezdrożu, w głębokiej rozterce, z której nie widzi drogi wyjścia. Uderza w zetknięciu z Mazurami (twierdzą to nie tylko na zasadzie wrażeń

ostatniej wycieczki) to, że są to albo ludzie aż do cynizmu bezideowi, zmaterializowani, dbający tylko o własny interes, albo też dusze smutne i zgnębione, napełnione bolesną rezygnacją, bądź też pełnym akcentów destrukcyjnych duchem buntów. Jest to lud, który stracił ideę przewodnią.

Niegdyś ideę taką posiadał: była nią idea odrębności mazurskiej pod pruskim berłem królewskim. Dzisiaj idea ta straciła aktualność. Nie ma już królów pruskich, z rąk tych łaskawych dla Mazurów władców suwerenność przeszła w ręce niemieckiego narodu. W niemieckim państwie narodowym, będącym spadkobiercą dawnego państwa pruskiego, które bynajmniej na wskroś niemieckie nie było — na odrębność mazurską miejsca nie ma. Znikły polskie szkoły na Mazurach, ginie polskość ewangelickiego kościoła, giną, wymierają, wynaradawiają się ostatnie rodziny rodzimej elity: pastorów-Mazurów, drobnej szlachty, wielkich gburów. Konserwatyzm ideowy nie jest na Mazurach możliwy, bo stare kształty życia bezpowrotnie zagięły. Ci, którym w tych kształtach było dobrze, mogą tylko dumać o przeszłości, lub smuć się teraźniejszością. Możliwe są tylko dwie idee rewolucyjne: idea germanizacji, rewolucyjna podwójnie, bo zrywająca z tradycją językową zarówno, jak z tradycją państwową, gdyż państwo narodowe-niemieckie nie jest identyczne z dawnym królestwem pruskim, posiadającym na tutejszym terenie niemało cech państwa narodowościowego i ideowo-narodowego zlania się z narodem polskim, konserwatywna językowo, lecz rewolucyjna z punktu widzenia historycznej tradycji narodowopństwowej. Przypuszczam, że nie tylko oportunistom pcha liczne jednostki spomiędzy Mazurów w objęcie pierwszego z obu rozwiązań, że niemałą rolę odgrywa tu chęć znalezienia się w społeczeństwie, mającym wyraźną ideologię. Przypuszczam, że niemała część Mazurów mówiących po polsku to także świadomi adeptci pierwszego rozwiązania, że to zdeklasowani Niemcy, którzy właśnie przez oportunizm czy inercję nie mogą się pozbyć, mimo że w zasadzie to postanowili — pamiętki rodzinnej, jaką jest mowa ojczysta. Mniemam jednak, że ludzie ci stanowią mniejszość Mazurów, że ogół ich germanizacji nie pragnie, co najwyżej schylając przed nią czoła, jako przed procesem smutnym i niemiłym, lecz w mniemaniu ich nieuniknionym. Ogół ten na myśl drugiego rozwiązania nie wpadł, o wskrzeszeniu przeszłości realnie myśleć nie może, jest więc bez steru, bez dążeń, bez światopoglądu, jako masa bierna, zniechęcona i pełna goryczy.

Ogół ten jakąś drogę wyjścia znaleźć musi. Dla narodzenia się separatyzmu mazurskiego najmniejszych warunków nie widzę, sądząc więc, że ogół ten pójsć musi bądź w kierunku germanizacji, bądź w kierunku przyciągnięcia do polskości, bądź podzielenia się między te dwa kierunki. Generacja dzisiejszych dzieci będzie zapewne miała drogę wyraźnie obraną: będzie polska lub niemiecka.

Dzisiaj wszystko wskazuje na to, że będzie to niemiecka. Jeśli przed dorostaniem tej, mówiącej już najchętniej po niemiecku generacji (to znaczy w ciągu kilkunastu lat) przełom ku polskości nie nastąpi, Mazury będą dla nas stracone.

Twierdzą jednak mimo to, że widzą wiele danych warunkujących możliwość zjawienia się tego pożądanego dla nas przełomu. Dzieci są bądź co bądź dziećmi — jeszcze oblicza ideowego nie mają, a jeśli (dzięki szkole) zaczynają już sobie kształtować, nietrudną będzie dla nich rzeczą oblicze to zmieniać. A ludzie dorosli, nie wyłączając dorosłej młodzieży — to właśnie ten ogół bez ideologii, instynktownie wierni swej językowej i plemiennej polskości. Twierdzą, że nigdy nie było tak dogodnej koniunktury, jak właśnie teraz po wojnie, do zasugerowania ogółowi Mazurów ideologii narodowo-polskiej, bo nigdy tak

ostro jak teraz nie zarysowały się dwie tylko: polska lub niemiecka — drogi wyboru — wobec których *tertium non datur*.

Cóż trzeba robić? Nasuwa mi się przede wszystkim spostrzeżenie, że nasza akcja na Mazurach jest nie tylko za wąska, co do zasięgu swych wpływów, lecz również nieco za sucha i za bezduszna. Oczywiście rzeczą konieczną są nasze nadzwyczaj nikiłe zresztą biurokratycznie skonstruowane poczynania organizacyjne, ze zwykłym aparatem biurowości, porad prawnych, rozjazdów na motocyklu etc. Konieczne jest dostarczenie czytelnikowi „Mazura” stałej strawy w postaci bieżącego materiału dziennikarskiego — konieczna jest (tak zresztą wciąż niedostateczna i niewspółmierna do rozmiarów potrzeb) akcja kredytowa, konieczne są (podejmowane nie od dołu, lecz od góry) próby w dziedzinie prywatnego polskiego szkolnictwa, konieczne jest tym bardziej szukanie kontaktów z ludnością w postaci werbowania mężów zaufania, lecz poprzez te wszystkie powszechnie nieodzowne i ważne poczynania, stanowiące zewnętrzną formę akcji polskiej, niedostatecznie sugestywnie, przebijają jej treść. Wydaje mi się, że rzeczą najważniejszą w akcji mazurskiej jest sformułowanie w sposób przekonujący i dostępny, a przemawiający zarówno do umysłów, jak i do serc jej ideologii tak, aby lud nie tylko wiedział, że Polacy coś na Mazurach przedsięwzięli, lecz żeby wiedział, w imię czego to robią i dokąd chcą ten lud prowadzić. Odkąd akcja polska na Mazurach istnieje (a więc przed wojną i po wojnie) nie pokusił się nikt o napisanie przeznaczonej dla ludu broszury, w której byłyby sformułowane hasła tej akcji, zgrupowane jej argumenty, sprostowane nieporozumienia i zarzuty rozsiwane przez Niemców. Zapewne niejedynemu Mazurowi urobił się polski światopogląd dzięki stałemu czytaniu „Mazura” lub rozmowom z Polakami (po prostu wytuśkał sobie stopniowo z tych źródeł wszystkie potrzebne do światopoglądu składniki) jest to jednak droga mozolna i dla ogółu niedostępna. Łatwiej jest osiągnąć przeczytanie przez kogoś (choćby z pobudek ciekawości) agitacyjnej broszury aniżeli stałe czytanie przezeń „Mazura”, tyle innych gazet (niemieckich 9) jest do dyspozycji. Droga wpływu osobistego, skuteczna wobec np. Późnego w Olsztynie jest rzecz prosta wobec szczupłości liczebnej naszych ludzi, tym bardziej jeśli idzie o ogół, niedostępna. Wobec tego, że nikt inny się do tego nie zabiera, spróbuję w jesieni lub w zimie, jeśli mi nic nie stanie na przeszkodzie, pokusić się o napisanie podobnej broszury. Bardzo pożyteczną, przemawiającą do serc propagandą jest propaganda przez literaturę. Niepodobna wprost ocenić wagi takich poczyniń, jak wydanie *Krzyżaków*, których należałoby wszędzie rozesać i za którymi powinny pójść wydawnictwa własne.

Wydaje mi się również, że jesteśmy nieco jednostronni w kierunkach naszej propagandy. Głównym, a niektórych terenach wyłącznym, jej kierunkiem jest kierunek polityczny (agitacja przedwyborcza itd.). Powodzenie akcji politycznej bez uprzedniego przygotowania dla niej umysłów akcją kulturalną jest złudzeniem. Rzeczą najważniejszą jest przekonanie ludzi o chwalebności trwania przy rodzimej tradycji językowej i kulturalnej, o piękności mowy polskiej, o wspaniałości kultury polskiej i wielkości narodu polskiego, konsekwencje polityczne utrwalenia tych poglądów — w postaci głosowania na polskie listy, posyłanie dzieci do szkół polskich etc. zjawiają się później same.

Oczywiście nie znaczy to, by zaniedbywać akcję polityczną, szkolną, organizacyjną itd. tam gdzie grunt jest już jako tako obrabiony (przede wszystkim w Szczycieńskim). Te ostatnie poczynania muszą iść tuż w ślad za pierwiastkową akcją kulturalną, która jednak musi być etapem pierwszym. Droga ta jest dalsza niż w akcji politycznej stronnictwa w obrębie środowiska o wyrażonym narodowym obliczu, bo konieczne jest wpierw zbudzenie kulturalno-narodowych instynktów, po których dopiero mogą przyjść polityczne argu-

menty. Co do akcji kulturalnej — uważam, że obok bezpośredniej agitacji bardzo dla niej cenne może być pośrednie budzenie zainteresowań regionalno-kulturalnych, przez wszczęcie wytrącających lud z uśpienia intensywnych badań dialektologicznych, czy ludoznawczych (folklor etc.) nad tym ludem. Przydatne by tu było Towarzystwo Naukowe w Olsztynie, jako instancja przywołująca badaczy z Polski i publikująca gromadzone przez nich materiały, a także korzystająca z bezpośrednich usług w dziedzinie gromadzenia tych materiałów ze strony inteligentniejszych członków masy ludowej.

Ważną również rzeczą jest wyrobienie kadr własnych działaczy kulturalnych, którzy by np. mieli kwalifikacje do pracy publicystycznej i literackiej na łamach „Mazura”. W tym kierunku należy popychać ambicje młodych Mazurów, na których mamy wpływ.

Obok pewnego ożywienia i odszablonowania treści akcji polskiej wydaje mi się rzeczą konieczną zwrócić wielki — jak największy wysiłek na jej rozszerzenie terenowe. „Mazur” winien w kilkunastu egzemplarzach docierać do k a ż d e j wsi, aby z k a ż d ą wsią mieć za jego pośrednictwem kontakt. Na rozprzestrzenianie bezpłatnego kolportażu „Mazura” nie wolno żałować ani jednego grosza. Uważam nawet, że powinniśmy dziś na kolportaż „Mazura” (tj. na zdobycie adresów ludzi, do których można by go wysyłać) zwrócić główny wysiłek organizacyjny — choćby kosztem nawet pewnych zaniedbań na innych odcinkach. Przez długi czas — dopóki mamy mało działaczy (których trzeba zresztą intensywnie wychowywać oraz dopóki szczupłe środki uniemożliwiają względnie redukują do skromnych granic akcję kredytową itd. — głównym środkiem naszego oddziaływania na lud mazurski musi zostać słowo drukowane — toteż na doprowadzenie jego skuteczności do perfekcji (przez szerokość kolportażu oraz pogłębienie treści) musi być położony główny nacisk.

Na zakończenie pragnę zwrócić uwagę na piękno i czar ziemi mazurskiej, czyniące z niej wymarzony teren dla letników i turystów. Jeśli z Polski nie łatwo będzie ściągnąć tu ruch turystyczny i letniskowy — choć i pod tym względem niemałe możliwości istnieją — to może przynajmniej z mniejszości polskiej oraz służby konsularnej z Niemiec, można by pewien ruch turystyczny i letniskowy na Mazury skierować. Przypuszczam, że kilkutygodniowy pobyt w jakiejś wsi kulturalnej inteligentnej i ideowej rodziny letniczej, mógłby nawet bez specjalnej agitacji z ich strony, przez samo tylko niedostrzegalne oddziaływanie — sprawić istną rewolucję w niejednej duszy mazurskiej, a może i w całej wiosce.

J. Giertych (podpis własnoręczny)  
7 VIII 31

D o d a t e k. Po powrocie z wymienionej wycieczki jechałem wraz z żoną do Polski osobowym pociągami Olsztyn—Ostróda—Niem. Iława. W okolicach Ostródy przedział napełnił się mówiącą po polsku publicznością. (Powiat ostródzki zamieszkały jest przez ludność polsko-ewangelicką, zwykle identyfikowaną z Mazurami i na ogół niczym się prócz odmiennej gwary nie różniącą).

Jedna z pasażerek, słysząc, że mówimy z żoną po polsku, zapytała nas się skąd my jesteśmy, skoro, choć jesteśmy „fejn ludzie” mówimy po polsku. Odrzekliśmy, że z Olsztyna. Wydało się to wszystkim naszym współpasażerom odpowiedzią zupełnie wystarczającą. Wprawdzie większość z nich nigdy w Olsztynie nie była, jedna była tam dawnymi laty, jednak wszystkie wiedzą, że Olsztyn to miasto bardzo polskie, gdzie „gwałt ludzi mówi po polsku”. Jest tam nawet jeden *Amt*, nazywa się Konsulat, w którym wszystko idzie po polsku i nawet *beamtry* po polsku gadają. Bardzo to ciekawa informacja o tym, jaką opinię posiada wśród ludności ewangelicko-polskiej miasto Olsztyn. Podobne choć nie tak dobitne głosy słyszeliśmy też i na Mazurach. J. G.